

DUKAJ



CÓRKA ŁUPIEŻCY



JACEK
DUKAJ

CÓRKA
ŁUPIEŻCY

WYDAWNICTWO LITERACKIE

© Copyright by Jacek Dukaj
© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009

Wydanie pierwsze w tej edycji
Tekst oparto na wydaniu: J. Dukaj, *Córka łupieżcy*, w: *Wizje alternatywne 4*, Olsztyn 2002.

Opieka redakcyjna serii
Anita Kasperek

Redakcja i korekta
Paweł Ciemniowski, Paulina Małochleb, Małgorzata Wójcik

Ilustracja na okładce
Michał Dziekan

Projekt okładki i stron tytułowych
Tomasz Bagiński

Redakcja techniczna
Bożena Korbut

Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2009
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”
Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dzielowa S.A.

ISBN 978-83-08-04305-9

SPIS TREŚCI

6	Nieczułość. Z sejfów głębokich. Spojrzała ponad grobem
35	Detektyw samorodny. Majówka w zaświatach
53	O tych, co z Ludluma. Zuzanna i wszechświat
84	Non-disclosure physics. Życie seksualne Wektora1
106	Archeologia. Miasto ma swoich heretyków. Tajemne symetrie krwi

This city is an ogre squatting by the river
It gives life but it takes it away, my youth
There comes a time when you just cannot deliver
This is a fact. This is a stone cold truth. (...)
Amongst the cogs and the wires, my youth
Vanilla breath and handsome apes with girlish eyes
Dreams that roam between truth and untruth
Memories that become monstrous lies
So onward! And Onward! And Onward I go!
Onward! And Upward!

Nick Cave *Do You Love Me? Part II*

Potem przypomni sobie, że znała to miasto — ze snów. Jego światła i cienie, nie do pomylenia z żadnymi innymi, kształty jego budynków wzniesionych przed początkiem czasu, chrzest pyłu pod nogami, gdy stąpa jego ulicą; nawet zapach powietrza. Niektóre widoki wywoływały szczególnie silny rezonans. Czy nie spoglądała już kiedyś z tego miejsca, nie zadzierała tak głowy? Pod Kruczą Basztą, na Moście Zawróconych, między Dwuścianami. Tu. Tam. Stojąc, siedząc, klęcząc, leżąc. Z oczyma szeroko rozwartymi i ustami niedomkniętymi, naprzeciw trzem słońcom, pięciu księżycom, równinom purpurowym, lodowym cmentarzom, dymom wulkanów, zorzom czarnym — i tym bezimiennym metropoliom starożytnym, ku którym Miasto bezustannie lgnie. Lgnie, przyływa, wtula się tęsknie, chyli ciało — zniedołężnieniec ku objęciom dziecka. Zapomniał także własnego imienia. Pamięć ginie pierwsza i te szczątki, jakie pozostają, intencjonalne konfiguracje materii... któż rozszyfruje? Nazywają ich archeologami, lecz w rzeczywistości są budowniczymi przeszłości, artystami tajemnic. Zuzanna starannie skonstruowała własną: te sny — tak się odbijają wspomnienia z najgłębszego dzieciństwa, gdy ojciec zabierał ją w sekrecie na nocne wycieczki do Miasta. Czarnobrody grubas z małą dziewczynką na ramionach — wędrowali tymi alejami, pokazywał jej, nierozumiejącej, posągi nieludzkie i domy hermetyczne, zakazane pisma, niewidzialne malunki, straszne krajobrazy wszechświata. Jest już pewna, że tak było, być musiało, sny ostatecznym dowodem. Najbardziej zdradziecka ze wszystkich — archeologia pamięci.

NIECZUŁOŚĆ. Z SEJFÓW GŁĘBOKICH. SPOJRZAŁA PONAD GROBEM

Zuzanna Klajn skończyła osiemnaście lat. W dzień swoich urodzin dostała od krewnych i znajomych liczne prezenty, wszakże te trzy, które zapamięta najlepiej, otrzymała przed urodzinami i pochodziły one od osób, które już lub jeszcze nie żyły: ojca, prababki i Maleny.

Malena została poczęta, lecz miała przyjść na świat dopiero w październiku. Tymczasem Zuzanna zaprzyjaźniła się z nią serdecznie. Z maszyny chtonicznej, w której się krystalizowała, lśniła się Malena Zuzannie co wieczór oraz niektórymi porankami i w porze lunchu. Zazwyczaj plotkowały bezcelowo albo też opowiadała Zuzanna nienarodzonej kuzynce o swoich kłopotach; z jakiegoś powodu radości zdawały się jej bardziej intymne. Malena dobrze się czuła w świecie cieni i trochę się lękała nieuchronnego ucieleśnienia.

— Coś ostrego na podłodze. Albo jak się potknę; zawsze mogę się potknąć, prawda? Spaść skądś. Gdybym wychyliła się przez tę balustradę, przez wodę... Przecież nic by mnie nie uratowało.

— Ale dlaczego miałabyś się tak wychylać? Musiałabyś jeszcze zejść po spadzie i dopiero skoczyć.

— Ale mogłabym, prawda? Mogłabym. A wtedy — ciało.

Na spółkę z bliźniakami Ludo Zuzanna wynajmowała wąski apartament na czterdziestym czwartym piętrze Wodnej Wieży w elfiej dzielnicy Krakowa. Krakowskie Wodne Wieże wzniesiono przy samej jej granicy, za pasem bujnej zieleni. Wiatry były tu bardzo silne, zwłaszcza po reklimatyzacji, niekiedy całkowicie zrywały wodne ściany, stożkowe wysokościowce wyglądały wówczas niczym drzewce deszczowych sztandarów, rosa spadała nawet kilometr dalej. Wracając do domu na piechotę, rzadko docierała Zuzanna do wodospadu bramy całkiem sucha — ale na tym między innymi polegała kulturowa specyfika Wież i takie przyzwyczajenia wymuszała elfia dzielnica.

— Co — ciało? Teraz to niby nie zależyś od materii?

Malena wydeła wargi, z obrażoną miną przechodząc na drugi koniec tarasu, gdzie wskoczyła na kroniczny stolik i zaczęła na nim stepować do rytmu wodospadu.

Zuzanna lśniła ją już dobre dwie godziny, zaczynała boleć ją głowa.

— Każdy się rodzi — mruknęła, gasząc papierosa. — Daj sobie z tym spokój, jeszcze wypracujesz całą obsesję i będzie trzeba cię leczyć z niemowlęcej somafobii.

— Ty to serca nie masz! — krzyknęła Malena i wskoczyła na balustradę. Wodna ściana spadła po przedurodzonej kaskadami, momentalnie przemaczając sukienkę i ciągnąc w tył, nad spad i przepaść. — Egoistka! Może i jestem głupie dziecko, ale ty nawet nie próbujesz się wczuć. Co z tego, że sama urodziłaś się na pusto? Odrobinę empatii...! Racja logiczna nie zwalnia od współczucia. O!

— Czy ty wiesz, o której ja dzisiaj wstałam? I kto tu mówi o współczuciu?

Malena machała rękoma, w zapamiętaniu aż wystawiając poza zęby wilgotny język.

— W ciele bym nigdy... — mruczała, utrzymując równowagę na mokrej poręczy, gdy stopy przesuwaly się centymetr za centymetrem. — Po co mi ciało...

Z wnętrza mieszkania dobiegły Zuzannę głosy bliźniaków, wołały ją na kolację.

Malena obróciła się i przemaszerowała po balustradzie ku Zuzannie.

— Mięśnie by mi drżały — wyliczała pod nosem — błędnik oszukiwał, pociłabym się ze strachu...

— Przede wszystkim w ogóle nie przyszło ci do głowy tu wlaźć! — warknęła Zuzanna i zepchnęła Malenę poza wodną ścianę. Ki-chając głośno, zakończyła lsen.

Przez kilka kolejnych dni Malena dąsała się ostentacyjnie. Wreszcie, ponieważ i tak zbliżały się urodziny Zuzanny, przylśniła się jej w nocy odpowiednio gniewna i obrażona i wepchnęła w dłonie owinięty czarnym akrylem prezent.

— Masz! Wszystkiego najlepszego!

Zuzanna, w tym śnie-lśnie zupełnie rozkojarzona i bez świadomości snu, przyjęła prezent w leniwym zdumieniu, nawet nie podziękowaw-

szy. Potrząsnęła podarunkiem: nic nie zagrzechotało. Miał kształt owalnego pudełka. Zaczęła go rozpakowywać, lecz tymczasem sen wszedł w inną fazę i na resztę nocy zapomniwała o prezencie.

Kiedy jednak rano lśniła pod prysznicem uaktualniony harmonogram dnia przysłany z Licz sp. z o.o., zauważyła pudełko na półce obok mydła. Sięgnęła mokrą dłonią. Ledwo dotknęła, wyłśnił się cały podręcznik użytkownika. Słuchała, wycierając się i czesząc. Ten prezent to był symulator prekoncepcyjny, już zasadzony w wykupionej przez Malenę odpowiedniej maszynie chtonicznej. Zuzanna wiedziała, że rodzice dają Malenie jakieś pieniądze, to jednak nie był mały wydatek — co prawda nieporównanie mniejszy od zakupu faktycznej krystalizacji sieci logicznej przekładalnej na fizjologię ludzkiego mózgu, ale jednak wielokrotnie większy niż nabycie jednej z owych lśnących lalek adaptacyjnych: Barbie Generacji T. Taka symulacja, jak wyjaśniano w podręczniku, „z zewnątrz” była nieodróżnialna od prawdziwego przedurodzonego. Różnice sprowadzały się do uproszczeń technologicznych: symulacji nie można odbić w mózgu płodu, ale można na niej testować różne warianty osobowościowe, póki nie zdecydujemy, jakie właściwie dziecko chcemy skryształizować — potem dokonuje się kilkuetapowej translacji, w trakcie której zginie między innymi pamięć. Podczas gdy prawdziwi przedurodzeni pamiętają wszystko i ciągłość jest zachowana na każdym poziomie.

Intencja, z jaką Malena obdarowała Zuzannę symulacją prekoncepcyjną, była dość łatwa do odczytania. Nie po raz pierwszy spotykały Klajn oskarżenia o nieczułość. Słowa były różne — „obojętna”, „zimna”, „oderwana od rzeczywistości”, „zapatrzona w siebie”, „mizantropka” — ale sens jednaki. Uczciwie musiała przyznać, że nigdy nie należała do osób najłatwiej nawiązujących znajomości i zawsze był między nią a ludźmi, między nią a światem jakiś dodatkowy dystans, którego nie dostrzegała u innych, coś ją od nich oddzielało, musiała się świadomie zdobywać na jeden wysiłek więcej. Być może u mężczyzny nie rzucałoby się to tak w oczy; bo trudno wskazać kobietę, która nie miałaby przynajmniej jednej „bliskiej przyjaciółki”. Natomiast Zuzanna nie czuła się do końca członkiem żadnej grupy ani częścią żadnego związku, nawet w jej stosunku do Kamila było pewne chłodne wyrachowanie: ta nieustępująca świadomość, iż normalni ludzie tak właśnie

się zachowują, normalni ludzie się zakochują i żyją razem — więc i ona powinna, prawda?

Ubierając się do pracy, Klajn zastanawiała się, czy w ogóle uruchamiać symulację; czy po prostu nie odsprzedać prezentu, jakkolwiek niegrzeczne byłoby to wobec obdarowującej. Bo takich rzeczy nie da się potem po prostu „wyłączyć”, chcąc nie chcąc, człowiek się przywiązuje, buduje sieci emocjonalne, życie jest życie — dobrze wiedziała. Obracając to wszystko w głowie, zajrzała jeszcze do sypialni bliźniaków, by, jak co dzień, obudzić ich na czas do pracy. W nocy splątali się z błękitną pościelą, tak że trudno było rzec, do kogo należy która kończyna. Zuzanna szarpnęła za wszystkie nogi po kolei. Zaspane dwunastolatki wynurzyły się z błękitu, przeklinając Zuzannę — jak co dzień.

W Licz panowała atmosfera obłączenia, po Podziemnym Świecie najwyraźniej przeszła kolejna fala panicznych przeczuc, pośmiertni przeczucali kapitał w niespodziewane inwestycje albo też doradzali takie ruchy swoim nieumarłym oryginałom lub potomkom, w każdym razie od gęstych lsnów oczy zachodziły maklerom różową krwią. Bóstwa chtoniczne zawiadywały już pośrednio lub bezpośrednio blisko jedną dwudziestą globalnej gospodarki, a to stanowiło wpływ bardzo znaczący, zwłaszcza w Azji, gdzie od lat wszyscy mandaryni partyjni i generałowie-miliarderzy żyli w Cieniu. Jeśli można w ogóle nazywać to życiem, bo Zuzanna nadal miała wątpliwości. Podczas pierwszej przerwy papierosowej bawiła się machinalnie lsnym pudełkiem od Maleny, wciąż niezdecydowana. Zaczęło się powoli rozmywać pod jej palcami. Zbyt dużo lśnu, skonstatowała, libaryt wypłukuje mi się już z krwi, trzeba dać sobie w żyłę.

Prezent od ojca przyszedł pocztą elektroniczną. Nadawcą była brukselska kancelaria notarialna. Że Zuzanna została zaskoczona, to mało powiedziane. Ojciec był mitologiczną bestią jej dzieciństwa, nie myślała o nim inaczej, jak w kategoriach legendy, a i to jedynie w skojarzeniu z jakąś rodzinną historią, nigdy spontanicznie. A tu nagle: wychodzi z ekranu, siada na biurku, drapie się po pokrytej czarnym zarostem brodzie.

— A więc nie żyję — rzecze. — Jeśli nie jestem martwy, to w każdym razie nie jestem też żywy; przynajmniej dla ciebie. Taak. Nie wiem, czy mnie w ogóle pamiętasz, Zuz. To ja, tato. — Uśmiecha się niepew-

nie, mruga łobuzersko. — Pamiętasz? Nagrywam to na dzień przed twoimi trzecimi urodzinami. Pewne wydarzenia... Twoja matka miała rację, ja nigdy nie dorosnę. Masz teraz osiemnaście lat, jesteś pewnie bardziej odpowiedzialna ode mnie. A może nie? Mam nadzieję, że... Widzisz ten klucz? Odbierzesz kartę z nim w Drugim Włoskim w Rotterdamie na podstawie swojego DNA. To mój prywatny klucz, pisałem na niego wszystkie nieosobowe uprawnienia. Zgłoś się potem do krakowskiej filii Abominado; kancelaria Lipszyca poinformuje cię o procedurach spadkowych i tym podobnych... Boże, tak naprawdę to chciałbym cię teraz zobaczyć. Jak wyglądasz? Porozmawiać z tobą. Jak się śmiejesz? Uśmiechnij się raz dla mnie, dobrze? Byłaś takim kochanym dzieckiem... No, już, wyłączam się. Trzymaj się, Zuz. Zbój is out.

Obejrzała to chyba dziesięć razy. Nawet Mateusz ze stanowiska obok zwrócił uwagę.

— Kto to? — spytał.

— Mój ojciec.

— Skąd dzwonił?

— Nie żyje.

— O!

— Od lat.

— Ach.

— No właśnie.

Dwa papierosy później nadal nie wiedziała, co o tym sądzić. Sprawdziła szyfry pocztowe nadawcy, ale wszystko się zgadzało, plik przyszedł od brukselskiego notariusza. Wierzyła, chociaż nie wierzyła — ten mężczyzna, mrugający do niej z projekcji... Więc naprawdę miała ojca! Lecz trudno powiedzieć, żeby nią to przesłanie zza grobu wstrząsnęło, zdenerwowało czy choćby wzruszyło — dziecinnie zdumiona, siedziała i robiła dziwne miny do swego odbicia na wyblankowanym ekranie. Czy on istotnie mówił do niej „Zuz”? Czy w ogóle zachowała jakiegokolwiek wspomnienia o swoim ojcu, czy też są to tylko wspomnienia wyobrażeń o nim, zrodzonych z opowieści matki i krewnych? Cóż, teraz to już tak czy owak nie do rozstrzygnięcia.

Sprawdziła rozkład poślizgówek do Rotterdamu. Drugi Bank Italii był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, czas nie stanowił więc problemu — zdążyłaby obrócić po pracy tam i z powrotem. Jeśli już

cokolwiek, to niepokoił ją raczej fakt, że zgłaszając się tam po klucz, wypełniałaby ślepo plan owego człowieka — Jana Klajn — jej ojca — o którym nie wiedziała nic.

Cóż niby mogłoby jej grozić w związku z przejściem prywatnego klucza zmarłego rodzica? Daje się tu porwać filmowej paranoi; powinna się rozczulać nad rodzinnymi fotografiami, nie zaś dociekać ukrytych motywów nieboszczyka. A jednak — niepokój.

W drodze do domu przelśniła się ciotce Mariannie. Na ostatnich kroplach libarytu połączenie było słabe, płaskie, nie czuła faktury foteli samochodu, którym jechała ciotka, zapach jej perfum też był ledwo wyczuwalny; słyszała jednak wyraźnie.

— Testament, naprawdę? W Brukseli? A to by się zgadzało, tam przecież wtedy pracował.

— Ale dlaczego on w ogóle coś takiego nagrał? Spodziewał się? Musiał się spodziewać. A przecież to był wypadek, prawda?

— Mhm, no, niezupełnie.

Ciotka Marianna obróciła się ku Zuzannie, podwijając prawą nogę i opierając się o drzwi samochodu. Wóz sunął po obwodnicy, niskie Słońce rozlewało się po spolaryzowanych szybach czerwonymi akwalerami. Ciotka patrzyła gdzieś ponad ramieniem Zuzanny, palcami o długich, seledynowych paznokciach rozczesując sobie spływające na ramię włosy.

— Teraz mi wyjawisz straszną tajemnicę rodzinną — mruknęła Zuzanna.

— Och, nic takiego — zaśmiała się ciotka; nadal jednak nie patrzyła dziewczynie w oczy. — Po prostu... No chyba cię okłamałyśmy. To znaczy — nie świadomie. Rozumiesz, byłaś mała, ile, cztery latka? Daje się wówczas odpowiedzi najprostsze, innych dzieci zwyczajnie nie rozumieją.

— Rozumieją.

— Wiesz, o co mi chodzi! — zirytowała się ciotka i wreszcie spojrzała na Zuzannę. — Normalne dzieci. W każdym razie wtedy nie rozumiały. No więc powiedzieliśmy, że miał wypadek; a potem widać nigdy tego nie odkręciła. A to jest prawda. To znaczy — tak jest w papierach, takie mu świadectwo zgonu wystawili: wypadek.

— A naprawdę?

— Naprawdę — nie wiadomo. Nie znaleziono ciała.

— Co właściwie się stało?

Marianna wzruszyła ramionami. Seledynowe paznokcie powędrowały ku wygiętym grymaśnie wargom, gdy zastanawiała się nad słowami.

— Nie wrócił z badań polowych. Czy jakoś tak. Pewnie wykopaliśka. Szukali go. Bez rezultatu.

— Zaginął więc. Gdzie?

Ponowne wzruszenie ramion.

— Nie wiesz? — zdumiała się Zuzanna.

— Twoja matka prowadziła przez lata prawną batalię... Powinnaś znaleźć w jej plikach. Nawet nie wiem, czy uzyskała jakieś konkretne odpowiedzi. On zjeździł pół świata, czasami dzwonił z miejsc, których nazwy nawet wymówić się nie dało, co dopiero zapamiętać i... Hej, gdzie uciekasz...?

Wbiegła do Wodnej Wieży z odchyloną wstecz głową, zaciskając palcami nozdrza. Krwotok poplamił bluzkę. Powinna była być mądrzejsza, nie można lśnić na sucho. Przejście przez wodną kurtynę nieco ją otępiło (wiał halny i trójkątny spad głównej bramy nie rozdzielał ścian sztucznego deszczu).

Z bliźniaków był w domu tylko Bartek, siedział w salonie nad jakimś papierami, nawet nie unióś głowy. Poszła prosto do siebie.

Dwa pokoje: sypialnia i biblioteka, która była biblioteką jedynie z nazwy, w istocie bardziej przypominała magazyn, stały tu kartony z rzeczami ze starego mieszkania, do których rozpakowania nie mogła się Zuzanna zmusić od przeprowadzki po śmierci matki. Żadna trauma, nic podobnego; po prostu odruchowo ustawiła je w stosach pod ścianą, najpierw odkładając sprawę do czasu skończenia studiów, potem — do znalezienia pracy, a teraz mówiła sobie, że przeprowadzi selekcję, gdy będzie się przenosić do swojego mieszkania, już wpłaciła pierwszą ratę. Była leniwa, ot i całe powikłanie psychologiczne. Zmiana zazwyczaj przegrywała u niej ze status quo — i stąd też, przypuszczała, brało się jej zaniepokojenie listem ojca zza grobu. Po co rewidować pamięć już uleżaną, choćby i fałszywą? Teraz i tak nie ma to przecież znaczenia. A śwędzi i piecze, i nie pozwala przestać myśleć.

Przysiadłszy na łóżku, wstrzeliła sobie w żyłę nabój wysokotrombo-cytowego libarytu. Potrwa, zanim odpowiednio rozejdzie się w organi-zmie. ART do Rotterdamu miała o dwudziestej dwanaście, akurat czas, żeby coś przelknąć i przebrać się stosownie. Może w elfi garnitur...? Kosztował ją całe dwie pierwsze pensje, często go nosiła bez oficjalnej okazji, choćby na spotkania z klientami Licz; zabierała też ze sobą na wszystkie wyjazdy, usprawiedliwiona próżność to nie wada. Bardzo się sobie w nim podobała: wyglądała wówczas prawie jak gwiazda biznesu czy polityki, kroniczny materiał pozostawał zawsze nieskazitelnie biały, zawsze idealnie się dopasowywał do figury, nieomal wyprzedzając ży-czenia i nastroje. No i ten dotyk, bardziej miękki od jedwabiu — elfie ubrania wdziewa się na gołe ciało. Jak dziewczynka pierwszy raz do-strzegająca w sobie przedmiot pożądania i eksperymentująca z formami kobiecości — przeglądała się teraz w nadrzwiowym lustrze: śnieżna biel marynarki kontrastująca z trwale opaloną skórą, kształt dekoltu zależny od sposobu zapięcia haftek, czarne włosy spuścić na plecy czy upiąć wy-soko...? Odwracając się od szafy, zahaczyła wzrokiem o czarną paczkę od Maleny. Bez zastanowienia sięgnęła i szarpnięciem otworzyła pudeł-ko. W środku, oczywiście, nie było niczego. Mamrocząc pod nosem, wyrzuciła je do śmieci.

Podreptała do kuchni nastawić robota. Gdy stała nad ekranem sie-mensowego *all-cooka*, niezdeterminowana między mięsną pizzą a Bardzo Zdrową Zieleniną — w lekkim mrowieniu podniebienia i opuszków palców opadł ją lsen. Oczekiwała na nią rozmowa z adresu chthonicz-nego. Odebrała na sztywnej lokacji. Ktoś zapukał w uchylone drzwi kuchni.

— Wejść! — krzyknęła przez ramię, zatwierdzając syntezę pizzy.

Kobieta objęła ją od tyłu, całując w policzek.

— Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Wymanicurowane, długie palce spoczęły lekko na obojczyku — po-znała ją po pierścieniach. Obrączka, rubin, srebrny węzeł... biżuteria dziewiętnastowieczna. Izabella, babka ojca, przepisała się w Cień w wie-ku stu trzech lat — odtąd nie opuszczała czterdziestego roku życia.

— Iza! Nie odzywałeś się ostatnio!

Ucisnęły się mocno. Izabella odsunęła prawnuczkę na odległość wyciągniętych ramion.

— Rzeczywiście, zbyt długo chyba — prawie cię nie poznałam.

— Co właściwie zabiera ci tyle czasu? Myślałby kto, że po śmierci człowiek może nareszcie odpocząć.

Izabella zaśmiała się gardłowo.

— Wystarczająco naodpoczywałam się za życia!

Przy kuchennym stole wymieniały ostatnie nowiny. Zuzanna wrzuciła do pralki poplamioną bluzkę. Pizzę jadła za pomocą sztućców, krojąc ciasto na drobniutkie kawałki. Babka opowiadała, gestykulując dłonią z papierosem, pierścienie traciły blask za zasłoną sinego dymu. Gdy usłyszała o testamencie swego wnuka, tylko uniosła brew.

Zuzanna coraz częściej popatrywała na zegarek. W obecności Izabelli zadzwoniła po taksówkę. Gdy podniosła się, by włożyć talerz do zmywarki, prababka wstała również.

— No, bo jeszcze się przeze mnie spóźnisz. Powinnam częściej zaglądać... Niechże cię ucałuję! Ach, zapomniałabym, a potem nie będę mieć czasu — proszę, baw się dobrze.

— Co to jest?

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
na www.wydawnictwoliterackie.pl